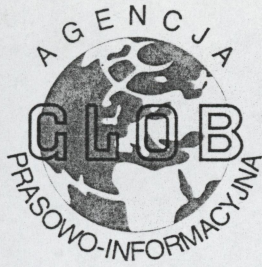


7

Bracia krwi
T. Raupch



„GLOB”
SPÓŁDZIELNIA PRACY

665

04-028 Warszawa, Aleja Stanów Zjednoczonych 53
tel. 813 42 34 tel./fax 813 44 95

GAZETA WYBORCZA
GAZETA STOŁECZNA
00-732 Warszawa
ul. Czerna 8/10

44 22 z dn 02 - 99

KOCHAM TEATR

Realizm z dreszczykiem

ROMAN PAWŁOWSKI

Teatr muzyczny przyzwyczał nas, że pokazuje świat lepszy i przyjemniejszy od tego, z którym mamy do czynienia na co dzień. Kobiety są młodsze, mężczyźni bogatsi, światła jaśniejsze, a muzyka dodaje wszystkiemu nierzeczywistego uroku. Nawet gdy tak jak w „Hair” albo „Skrzypku na dachu” tematem jest historia, która wciąga pojedynczego człowieka w swoje tryby, odbywa się to w sposób tak uroczy, że szybko zapominamy o troskach bohaterów. W pamięci zostają przeboje. Musical „Bracia krwi” Willy’ego Russella z początków lat 80., wystawiony niedawno w Rampie, jest odstępstwem od tej reguły. Zamiast schodów, piór i efektów specjalnych widzimy na scenie obskurne podwórko z trzepakiem, kawałkiem brudnego muru i kontenerami na śmieci. Na ziemi walają się puszki po piwie. Bohaterami są ludzie, jak to się mówi, z nizin społecznych, co prawda angielskich, ale zawsze nizin. Mówią potocznym językiem, noszą raczej kurtki niż garnitury, a ich głównym problemem jest zdobycie pracy. Ze sceny padają słowa takie, jak bezrobocie, zasiłek, zwolnienia, których się w teatrach muzycznych nie słyszało. To inna epoka, inny świat.



Przedstawienie Andrzeja Rozhina wiernie odtwarza ten klimat, głównie dzięki Agnieszce Matysiak. Gra ona rolę matki bliźniaków, zmuszonej oddać jednego z braci na wychowanie do bogatej rodziny. Aktorka ta z szarości i zwyczajności uczyniła walor i gdyby w swoim scenicznym kostiumie stanęła w kolejce do warzywniaka na Targówku, nikt nie rozpoznałby w niej musicalowej gwiazdy. Podobnie jest z resztą obsady: Mieczysławem Morańskim, Wojciechem Paszkowskim, Julią Kożuszek, Sławojem Jędrzejewskim. Pomysł reżyserski polega na tym, że ci sami aktorzy grają dzieci, a później dorosłych bohaterów, dzięki czemu dokładnie widzimy, jak dziecinne marzenia w konfrontacji z realiami obracają się w proch i pył. Co ciekawe, tym razem widoczna bieda polskiego teatru muzycznego nie razi, a nawet jakoś współgra z historią ludzi, którym w końcu też się nie przelewa. Mogę zrozumieć, że muzyka leci z taśmy, dekoracje nie są wyszukane, a zespół tańczy tak sobie. W tej historii nie chodzi o rozmach i perfekcję.

Dlaczego jednak – to pytanie wybuchło we mnie, kiedy wychodziłem z teatru w ciemny Targówek – dlaczego jednak spektakl Rozhina mimo wszystkich danych, aby stać się sensownym, poruszającym przedstawieniem, zrobionym w jakiejś sprawie, a nie sobie a muzom – nie wstrząsa? Dlaczego to, co miało być kawałkiem doskonale, również w Polsce, znanej rzeczywistości, na scenie zmienia się w kolejną bajkę dla dorosłych? Przyczyna leży do pewnego stopnia w samej sztuce, chociaż teatr też nie jest bez winy. Russell miał zdaje się ambicję napisania czegoś więcej niż musicalu o wymiarze społecznym, chciał mianowicie stworzyć współczesną wersję tragedii o przeznaczeniu. Stąd pomysł, aby losy bohaterów skomplikował przesąd, który mówi, że rozdzielonych braci bliźniaków w razie rozpoznania czeka śmierć. Stąd postać narratora, który jak grecki chór komentuje akcję i zapowiada nieuniknioną katastrofę. Russell jednego tylko nie przewidział: że w Warszawie tragedią zmieni się w swoistą parodię, czyli w thriller. Ubrany na czarno narrator, którego gra Dariusz Odija, swoje proroctwa wypowiada grobowym głosem, jakby to nie byli „Bracia krwi”, ale kolejny odcinek „Opowieści z krypty”. Patrzy przy tym na widzów groźnym, przeszywającym na wylot spojrzeniem, aż się niektórzy ze strachu oglądają za siebie, co wzmacnia nastrój taniego dreszczowca. Te przerywniki, wzmacniane światłem i odpowiednio przeraźliwą muzyką, zagłuszają realizm. Ale nawet gdyby aktor mówił normalnym głosem, spektaklu nie zdołałby uratować. Bo to, co Russell uważa za przeznaczenie, w naszej części świata nazywa się kapitałem. A to już zupełnie inna bajka.

G. Wyb - G. Stoł. nr 44
22.02.199

Russell W. 7

E C Z N A

A

98/99

KOCHAM TEATR

Realizm z dreszczykiem

ROMAN PAWŁOWSKI

Teatr muzyczny przyzwyczaił nas, że pokazuje świat lepszy i przyjemniejszy od tego, z którym mamy do czynienia na co dzień. Kobiety są młodsze, mężczyźni bogatsi, światła jaśniejsze, a muzyka dodaje wszystkiemu nierzeczywistego uroku. Nawet gdy tak jak w „Hair” albo „Skrzypku na dachu” tematem jest historia, która wciąga pojedynczego człowieka w swoje tryby, odbywa się to w sposób tak uroczy, że szybko zapominamy o troskach bohaterów. W pamięci zostają przeboje. Musical „Bracia krwi” Willy’ego Russella z początków lat 80., wystawiony niedawno w Kamapie, jest odstępstwem od tej reguły. Zamiast schodów, piór i efektów specjalnych widzimy na scenie obskurne podwórko z trzepakami, kawałkiem brudnego muru i kontenerami na śmieci. Na ziemi walają się puszki po piwie. Bohaterami są ludzie, jak to się mówi, z nizin społecznych, co prawda angielskich, ale zawsze nizin. Mówią potocznym językiem, noszą raczej kurtki niż garnitury, a ich głównym problemem jest zdobycie pracy. Ze sceny padają słowa takie, jak bezrobocie, zasiłek, zwolnienia, których się w teatrach muzycznych nie słyszało. To inna epoka, inny świat.



Przedstawienie Andrzeja Rozhina wiernie odtwarza ten klimat, głównie dzięki Agnieszce Matysiak. Gra ona rolę matki bliźniaków, zmuszonej oddać jednego z braci na wychowanie do bogatej rodziny. Aktorka ta z szarości i zwyczajności uczyniła walor i gdyby w swoim scenicznym kostiumie stanęła w kolejce do warzywniaka na Targówku, nikt nie rozpoznałby w niej musicalowej gwiazdy. Podobnie jest z resztą obsady: Mieczysławem Morańskim, Wojciechem Paszkowskim, Julią Kożuszek, Sławojem Jędrzejewskim. Pomysł reżyserski polega na tym, że ci sami aktorzy grają dzieci, a później dorosłych bohaterów, dzięki czemu dokładnie widzimy, jak dziecinne marzenia w konfrontacji z realiami obracają się w proch i pył. Co ciekawe, tym razem widoczna bieda polskiego teatru muzycznego nie razi, a nawet jakoś współgra z historią ludzi, którym w końcu też się nie przelewa. Mogę zrozumieć, że muzyka leci z taśmy, dekoracje nie są wyszukane, a zespół tańczy tak sobie. W tej historii nie chodzi o rozmach i perfekcję.

Dlaczego jednak – to pytanie wybuchło we mnie, kiedy wychodziłem z teatru w ciemny Targówek – dlaczego jednak spektakl Rozhina mimo wszystkich danych, aby stać się sensownym, poruszającym przedstawieniem, zrobionym w jakiejś sprawie, a nie sobie a muzom – nie wstrząsa? Dlaczego to, co miało być kawałkiem doskonale, również w Polsce, znanej rzeczywistości, na scenie zmienia się w kolejną bajkę dla dorosłych? Przyczyna leży do pewnego stopnia w samej sztuce, chociaż teatr też nie jest bez winy. Russell miał zdaje się ambicję napisania czegoś więcej niż musicalu o wymiarze społecznym, chciał mianowicie stworzyć współczesną wersję tragedii o przeznaczeniu. Stąd pomysł, aby losy bohaterów skomplikował przesąd, który mówi, że rozdzielonych braci bliźniaków w razie rozpoznania czeka śmierć. Stąd postać narratora, który jak grecki chór komentuje akcję i zapowiada nieuniknioną katastrofę. Russell jednego tylko nie przewidział: że w Warszawie tragedia zmieni się w swoistą parodię, czyli w thriller. Ubrany na czarno narrator, którego gra Dariusz Odija, swoje prococtwa wypowiada grobowym głosem, jakby to nie byli „Bracia krwi”, ale kolejny odcinek „Opowieści z krypty”. Patrzy przy tym na widzów groźnym, przesywającym na wylot spojrzeniem, aż się niektórzy ze strachu oglądają za siebie, co wzmacnia nastrój taniego dreszczowca. Te przerywniki, wzmacniane światłem i odpowiednio przeraźliwą muzyką, zagłuszają realizm. Ale nawet gdyby aktor mówił normalnym głosem, spektaklu nie zdołałby uratować. Bo to, co Russell uważa za przeznaczenie, w naszej części świata nazywa się kapitałem. A to już zupełnie inna bajka.